

ŚWIADECTWA

LATA SOLIDARNOŚCI

BRONISŁAW KOMOROWSKI

absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, działacz opozycji antykomunistycznej, od 1976 r. współpracownik Komitetu Obrony

Robotników i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, drukarz i kolporter wydawnictw niezależnych, organizator demonstracji niepodległościowych, w 1979 r. założyciel oficyny Biblioteka Historyczna i Literacka. W stanie wojennym internowany, redaktor pisma podziemnego „ABC – Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”.

W III RP polityk, poseł, w latach 1990–1993 wiceminister obrony narodowej, 2000–2001 minister. Członek władz Unii Wolności, Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego i Platformy Obywatelskiej, w latach 2007–2010 marszałek sejmu, od 2010 r. prezydent RP.

Jan Skórzyński: Czy strajki w sierpniu 1980 r. i ich dojrzały wymiar polityczny były dla Pana zaskoczeniem? Jak Pan spędził te wakacje?

Bronisław Komorowski: Wakacje spędzaliśmy z Jankiem Dworakiem, jego żoną i dziećmi w Borach Tucholskich, w Parowej nad Brdą. Byliśmy tam zupełnie odizolowani, z trudem odbieraliśmy Radio Wolna Europa. Gdy dowiedzieliśmy się o strajkach, postanowiliśmy wrócić do Warszawy. Janek miał „malucha”, załadowaliśmy do niego dwie żony, czwórkę dzieci, dwa kojce i nas dwóch. Samochód był zapchany do niemożliwości, dzieci trzymaliśmy na kolanach. Wracaliśmy z przekonaniem, że zaczęło się na serio, i natychmiast zabraliśmy się do pracy.

Najbardziej dumny jestem z tego, że udało nam się wywołać (czy przynajmniej przyczynić się do niego) strajk tramwajarzy i kierowców autobusów w Warszawie. Mieliliśmy sygnały, że w MZK wrze, postanowiliśmy więc pomóc na miarę naszych możliwości. Udało się zebrać kilkunastu chłopaków, współpracowników Biblioteki Historycznej i Literackiej, zrobiliśmy ulotki – z 21 postulatami gdańskimi. Przez pierwsze dni strajku panowała w kraju dezorientacja (a w prasie absolutna cenzura) i dezinformacja co do żądań robotników. Janek Dworak pamięta, że Grażyna Houwałt przyniosła zdjęcie wykonane przez fotografa CAF (do dziś nie wie, kto to był), na którym widniała tablica z postulatami znad bramy Stoczni Gdańskiej – to był koronny dowód ich prawdziwości. Przepisaliśmy je na ulotki. Ta fotografia długo potem wisiła u Janka w domu. Ulotki drukowaliśmy w jakiejś piwnicy, wkładaliśmy po kilkanaście egzemplarzy do kopert i rozdawaliśmy pasażerom w autobusach i tramwajach. Potem uznaliśmy, że lepiej dawać motorniczym i kierowcom. Robiliśmy to w momencie zmiany, gdy tramwaje i autobusy zjeżdżają do zajezdni, bo chcieliśmy, żeby ulotki trafiły na moment, gdy się wszyscy spotykają. Wszyscy brali, nikt nie odmawiał.

Następnego dnia po akcji słyszemy w radiu: strajk w zajezdni warszawskich tramwajów! Czułem się jak bokser na ringu, który właśnie znokautował przeciwnika. To było uskrzydające poczucie siły, prawdziwy smak zwycięstwa.

Chcieliśmy jechać do Gdańska, ale dowiedzieliśmy się, że w stoczni jest już Olek Hall i jego grupa, więc staraliśmy się ich wspomagać – głównie transportami prasy i książek niezależnych. Zmobilizowaliśmy wszystkie nasze zasoby bibuły, magazyny wyczyściliśmy

do dna. Maluchem mojej cioci Toni Komorowskiej, która też działała w opozycji, pojechali to wszystko do Gdańska. Wozik głównie Krzys Dowgiałto. Ja też raz pojechałem – z jego żoną Micią – maluchem wyładowanym po dach. Podczas jakiegoś ostrego hamowania cała bibuła zwała się na Micię, łamiąc fotel i wciskając ją w przednią szybę. Ale dojechalismy szczęśliwie.

Gdańsk brał wszystko, a my spieszyliśmy się, by jak najwięcej wydawnictw – naszych, nie naszych – tam zawieźć, bo przecież wiedzieliśmy, że to nie musi się udać, że za chwilę skończy się ten festiwal wolności i tyle naszego, ile wepchniemy bibuły w nowe środowiska, do nowych ludzi. Potem jako Biblioteka Historyczna i Literacka wydaliśmy antologię poezji robotniczej z Grudnia '70 i Sierpnia '80 (*Grudzień – sierpień. Piosenki i wiersze Wybrzeża*, Warszawa 1980) – bardzo porządnie, na offsecie. Przygotowywał ją m.in. Dowgiałto. Dopiero później się dowiedziałem, że to on jest autorem piosenki „Janek Wiśniewski padł”. Krzys uczestniczył w demonstracjach grudniowych, widział ówczesną bierność studentów, pracowników akademickich i całej inteligencji. W rozpaczy napisał tę piosenkę, stylizowaną na język robotniczy, a my, nic o tym nie wiedząc, wydaliśmy to później jako poezję robotniczą.

Czym dla Pana było porozumienie gdańskie: krokiem do wolnej Polski czy niepotrzebnym kompromisem z komunistami?

Uważałem porozumienie za absolutnie tymczasowe. Miałem wciąż to samo nastawienie: tyle naszego, ile zrobimy teraz. Jeśli kompromis – to tymczasowy, który pozwoli nam się wzmocnić i iść dalej. Celem nie było budowanie związku zawodowego – uważałem to jedynie za środek do dalszych celów: wolności i demokracji. Na pewno nas na tym etapie oszukają, wykończą – myślałem – ale będziemy już sto razy silniejsi niż wcześniej. A poza tym likwidując monopol komunistów na związki zawodowe, rozkładamy system. Byłem przekonany, że ścigamy się z czasem, trzeba go wykorzystać, bo to długo nie potrwa. Związek Radziecki stoi przecież na straży systemu i choć jest zajęty w Afganistanie, to prędzej czy później nas zgniotą.

Nie ujawnialiśmy więc naszej struktury, bazy drukarskiej ani magazynów bibuły. Oczywiście zaangażowaliśmy się w Solidarność, ale każdy z naszej grupy poszedł w trochę inną stronę. Ja podjąłem pracę w Ośrodku Badań Społecznych przy Regionie Mazowsze, kierowanym przez Antka Macierewicza. Janek Dworak znalazł się w redakcji „Tygodnika Solidarność”. Wszyscy nasi drukarze, kolporterzy, redaktorzy pracowali dla Solidarności, często w komórkach zakładowych związku. Krzysiek Dowgiałto był w zarządzie Regionu Gdańskiego. Utrzymywaliśmy jednak kontakty, licząc się z tym, że w każdej chwili może nastąpić załamanie.

Czym się Pan zajmował w OBS?

Razem z Jerzym Łojkiem zajmowałem się przygotowaniem alternatywnego podręcznika historii. Oprócz tego jeździłem na spotkania do zakładów jako prelegent; z jednej strony w przekonaniu, że organizujemy walkę z komunizmem, z drugiej – np. po marcu 1981 r.

– jako gaszący strajki. No bo przecież wizja interwencji sowieckiej była bardzo realna, więc trzeba było przekonywać ludzi. Mówiłem: „Panowie, musimy się zachowywać odpowiedzialnie, rozsądnie, bo inaczej wejdą”. Na to jeden z robotników: „Panie student, przecież nie o to chodzi, żeby nie weszli, tylko żeby wyszli!”. Było to tak logiczne i trafiające w moją mentalność, że trudno mi było na tym polu być skutecznym agitatorem.

Prezentował Pan poglądy umiarkowane, choć sam był bliższy radykałom?

Sam też powoli ewoluowałem. Stawałem się rzecznikiem radykalizmu celów, ale nie metod. Całkowicie się to we mnie przełamało później, w czasie stanu wojennego pod wpływem tego, co się wydarzyło, oraz kontaktu z takimi ludźmi jak Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek i wieloma innymi postaciami, które odegrały istotną rolę w przeprowadzeniu Polski przez ten burzliwy okres bez rozlewu krwi.

Jak się Pan sytuował w podziałach politycznych w Solidarności przed 13 grudnia? Był Pan po stronie umiarkowanych czy radykałów? Lecha Wałęsy czy Andrzeja Gwiazdy i Jana Rulewskiego?

Tak jak inne środowiska opozycyjne staraliśmy się zająć w związku dobre pozycje, aby móc współdecydować, w jaką stronę pójdzie, oddziaływać na jego linię polityczną. Byłem wtedy zdecydowanie po stronie radykałów, po stronie Andrzeja Gwiazdy, razem z Wojtkiem Ziemińskim i Antkiem Macierewiczem. Ale przypomnę, że na krajowym zjeździe Solidarności, w którym uczestniczyłem jako gość, to Janek Lityński wyszedł z ideą *Postania do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Dla mnie to było jak łyk świeżej wody, tak zgodne z moimi poglądami, pozwalało wierzyć, że mimo sporów ze środowiskiem lewicy korowskiej o wpływy we władzach związku zgadzamy się, gdy chodzi o zasadniczy kierunek walki.

Ale we wrześniu 1981 r. współtworzył Pan odrębną strukturę – Kluby Służby Niepodległości. Deklarację KSN podpisała m.in. grupa „Głosu” z Antonim Macierewiczem, środowisko Aleksandra Halla i Tomasza Wołka z Ruchu Młodej Polski, Jarosław Kaczyński i Wojciech Ziemiński, Bronisław Komorowski i Marian Piłka z BHiL.

Nie było natomiast w tym gronie Andrzeja Czumy ani ludzi z Konfederacji Polski Niepodległej. Kluby Służby Niepodległości były mimo to podminowane różnicami personalnymi, wyniesionymi z wcześniejszych konfliktów. Ja widziałem w nich załączek partii politycznej. A także instrument wpływu na Solidarność, która interesowała nas nie tyle jako związek zawodowy, ile polityczny wehikuł dla idei wolności i niepodległości. Miałem już wtedy poczucie, że solidarnościowa rewolucja nie musi się zakończyć klęską, więc trzeba zacząć myśleć o tym, co będzie jutro, o dalszej politycznej perspektywie. KSN były dla mnie także logiczną kontynuacją i rozwinięciem inicjatywy grudniowej z 1979 r.

Nasi ideowi konkurenci – choć nie przeciwnicy – z lewicy KOR też się wtedy organizowali – jako Kluby Rzeczypospolitej Samorządnej Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość. Warto

pamiętać, że Jacek Kuroń już w przededniu stanu wojennego formułował cel polityczny, którym miało być utworzenie rządu tymczasowego. To dopiero był radykalizm!

Stan wojenny był ogromnym zaskoczeniem?

Jednak tak. Wszyscy się już przyzwyczailiśmy do tego polskiego ewenementu.

Policja przyszła po mnie 12 grudnia przed północą. W domu był spokój, dzieci poszły spać, ja siedziałem w wannie, gdy ktoś załomotał w drzwi. Otworzyła Ania. Było ich trzech, dwóch milicjantów obywatelskich i jeden tajniak, który się przedstawił jako porucznik Wróbel. Przy drzwiach stał łom. Mówią: „Jest pan internowany”. Mnie zastanowił ten termin, więc pytam: „Ale co to znaczy?”. A oni: „Panie, my sami nie wiemy. Niech pan się ubiera” – bo byłem w szlafroku. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, może biorą radykałów? Mówię do żony: „Anka, to co zawsze”. Anka dała mi więc gruby sweter, książeczkę do nabożeństwa, szczoteczkę do zębów, słoik smalcu, bieliznę. Ubrałem się i wychodzę z nimi, bardziej zdziwiony niż przestraszony. Wsiadamy do windy, jedziemy na dół, widzę, że oni są potwornie spięci. „Co się dzieje?” – pytam jeszcze raz. A ubek do mnie: „Nie wiemy, każą nam wszystkich aresztować. Niech pan powie, co z tego ma być?”.

Zawieźli mnie na komendę dzielnicową MO na Mokotowie. Po drodze mijaliśmy patrolę na ulicach. Wjeżdżamy na podwórko komendy, a tam było już kilkudziesięciu kolegów, znajomych i nieznajomych. Staliśmy w grupkach na korytarzu, zauważyłem m.in. Stefana Starczewskiego, a także wielu działaczy związkowych; to był znak, że akcja nie jest wymierzona tylko przeciw starej opozycji.

Okazało się, że to był tylko punkt zborny. Spisali nasze dane, policzyli i wpakowali po kilkunastu do „suk”. Pojechaliśmy na Białołękę, pokrzykując do siebie, szukając znajomych, wymieniając plotki i opinie. Na miejscu wprowadzono nas do dużej sali, tam przy poszczególnych biurkach znowu nas spisywali, trzeba było oddać rzeczy – jak w więzieniu. Zrobiła się atmosfera bardziej nerwowa, bardziej na serio. Ale ciągle jeszcze dawał o sobie znać opozycyjny animusz: przyjdą i nas odbiją, komuniści się wycofają, bo nie mogą wygrać z całym narodem, dziesięć milionów członków Solidarności itd. Noc spędziliśmy w celach więzienia. Warunki były okropne, szyba wybita, brakowało desek w pryzkach, brudne materace. Rankiem wyprowadzono nas na podwórko, gdzie stał szpaler strażników z tarczami, pałami i szczekającymi psami. Weszliśmy do jakiegoś budynku, gdzie był włączony telewizor, przemawiał gen. Jaruzelski. Wtedy do mnie dotarło, że jest właśnie stan wojenny..

Widać już było, że sprawa jest poważna, ale wciąż czekaliśmy na kontruderzenie Solidarności. Ten nieco zawadiacki nastrój przeplatał się z lękiem o najbliższych. Obok starej ekstremy z opozycji demokratycznej w Białołęce znalazła się duża liczba opozycjonistów świeżej daty, działaczy związku. Oni się bardzo bali o kolegów, zakład pracy, rodzinę, nie mieli nawyków, więc myśmy z jednej strony trochę szpanowali przed nimi, a z drugiej – staraliśmy się ich pocieszać. Wśród tych kolejarzy i taksówkarzy z Solidarności panował nastrój pewnej pretensji do nas: „W co wyście nas wsadzili, inteligenty!”. Staraliśmy się to rozładować, wciągać ich w życie więzienne, instruować, jak się zachowywać podczas przesłuchań, nie zeznawać itp.

Panował lęk o rodziny. Żadnych pewnych wiadomości z Warszawy nie było. Wieści przynosili nowi internowani, których przywożono w kolejnych dniach. Dla mnie bardzo ważne było pojawienie się Leszka Truchlewskiego, mojego kolegi z harcerstwa i opozycji. Pewnego dnia słyszę jego głos na korytarzu, gdy sprowadzali ich ze spacerniaka: „Broniek, Broniek, nic się nie martw, harcerze zaopiekowali się Anką i dziećmi!”. Odczułem wielką ulgę. Był to też sygnał, że coś się tam na zewnątrz organizuje, ani rodziny, ani my nie jesteśmy sami.

Do kiedy siedział Pan w Białoleścu?

Do 22 grudnia. Przed Bożym Narodzeniem wywieziono nas śmigłowcami z Bemowa do Mirostawca. Był moment paniki, bo nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą i dlaczego. Rozpoznaliśmy, że lecimy na północny zachód, a gdy zobaczyłem napis Mirostawiec, wiedziałem, że jesteśmy na Pomorzu Zachodnim; tam była polska wojskowa baza lotnicza, ale niedaleko niej bazy rosyjskie. I do końca było napięcie: gdzie nas wiozą, czy nie do Sowietów? Mazowiecki ładnie to potem opisał, że poczuł ulgę, gdy zobaczył orła na czapce wartownika.

Jaworze to był wojskowy dom wypoczynkowy, który w zaimprovizowany sposób przystosowano do nowych celów. Po interwencji prymasa od razu zwolnili Andrzeja Kijowskiego i dzięki temu Anka dowiedziała się przez Maję Komorowską z Komitetu Prymasowskiego, że jestem w Jaworzu. Razem z Magdą Bogutą postanowiły nas odwiedzić. Przyjechały do obozu tuż po świątach, jeszcze przed Nowym Rokiem, jako pierwsze. Wiedziały, że to poligon, trudno dojechać, więc wzięły wódkę, żeby wynająć sanie. Gdy wysiadły z pociągu, zdawało się im, że ktoś za nimi idzie, więc przyspieszyły kroku. Jak się potem okazało, była to profesorowa Bogusławska, także jadąca do internowanego męża, którą potraktowały jak szpiega.

Pamiętam ten moment, absolutnie wzruszający. Stoimy przy budynku, przed nami puste lotnisko polowe, na którym jedynym punktem ruchomym był myszołów włochaty, jak mówił Stefan Niesiołowski. Raptem widzimy, że w śnieżnej zadymce idą dwie dziewczyny w kurtkach turystycznych, kapturach, z plecakami. „Kto to jest? – myślimy. – Może córki oficerów z poligonu”. Jedna do nas pomachała i zniknęły. Po półgodzinie przychodzi wartownik: „Komorowski, Boguta, do komendanta, macie wizytę, żony przyjechały”. Wrażenie było ogromne, i oczywiście duma, że moja pierwsza przyjechała.

Jakie wrażenie zrobiło na was Jaworze?

Jaworze było specyficznym obozem dla internowanych. W dwóch piętrowych pawilonach, w których nas osadzono, były trzyosobowe pokoje, urządzone tak jak w tanim ośrodku wczasowym w czasach PRL. Pokoje nie były zamknięte, mogliśmy się poruszać po całym pawilonie, zaryglowane były tylko drzwi zewnętrzne. Na posiłki chodziliśmy do stołówek. Jedzenie było dobre i obfite; jak nam powiedziano, władze przydzieliły nam stawkę żywnościową oficerów w czasie wojny. Mieliśmy wyrzuty sumienia, że nam tu tak dobrze, a ludzie poza murami pewno nie mają co jeść. Byli nawet tacy, którzy zbierali prowiant, aby wysłać do domu. Rodziny z kolei były przekonane, że głodujemy. Przesyłały nam

paczki żywnościowe, takie jakie się zgodnie z polską tradycją wysyła do więzienia – smalec i cebulę, która była podstawowym prezentem dla internowanych. W efekcie stały wielkie worki cebuli i gigantyczne ilości smalcu, którego nie byliśmy w stanie przejeść.

Mieszkałem w jednym pokoju z Maćkiem Rayzacherem i Staszkiem Ugniewskim, przewodniczącym Solidarności w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Maciek, jako aktor, budził wielkie zainteresowanie wśród pań kucharek i całej obsługi ośrodka. Na początku pilnowali nas zwykli klawisz, zawodowi strażnicy więzienni, wrogo nastawieni. Pamiętam rozmowę z jednym z nich; mówił, że chcieliśmy ich rodziny wymordować (tak ich indoktrynowano, pokazując jakieś listy rzekomo znalezione w biurach Solidarności), a teraz sami będziemy leżeli w tym jeziorze. Jeden ze strażników pozytywnie się jednak wyróżnił. Siedzimy sobie wieczorem w pokoju, a tu raptem zjawia się klawisz, puka i mówi: „Ja do pana Macieja”. Zwraca się do Rayzachera: „Pan jesteś aktor, ja pana bardzo szanuję i lubię, więc przyniosłem panu prezent”. I pokazuje odlaną domowym sposobem figurkę kominiarza. Maciek wyraził podziw i pyta go, czy nie zrobiłby ryngrafu z Matką Boską. On na to: „Oczywiście, dla pana bardzo chętnie”. Maciek więc proponuje, żeby on wygrawerował z tyłu napis, a my podarujemy to księdzu prymasowi na imieniny, na św. Józefa, razem od internowanych i od strażników. Był to więc chytry zamysł polityczny. Nasz klawisz początkowo nie podjął tego pomysłu. Powiedział: „Wie pan co, panie Macieju, dla mnie to pan jesteś ważny, znany aktor, a prymas, co mi tam prymas!”. Ale Maciek go przekonał i ryngraf został wykonany, żona Maćka i moja Ania przemyciły go i doręczyły prymasowi Glempowi razem z listem podpisanym przez wszystkich internowanych. Ten klawisz podarował nam także na Nowy Rok dwie butelki *sowietskoje igristoje*.

Tadeusz Mazowiecki wspominał o szokującej odmienności Jaworza od innych ośrodków internowania. „Mieszkanie w pawilonach wczasowych, cele stanowią pokoje, w których umieszczono nas po trzech – bez krat i otwarte, swoboda poruszania się po korytarzach i wewnątrz pawilonu. Posiłki w stołówce, przyrządzane smacznie i podawane do stolików”¹. To względne uprzywilejowanie intelektualistów w stosunku do robotników było zdaniem Mazowieckiego zabiegiem władz zmierzającym do wytworzenia nieufności i podziałów w Solidarności.

Najprawdopodobniej tak było. W Jaworzu rzeczywiście dominowali wśród uwięzionych przedstawiciele elit solidarnościowych i społecznych. Niektórzy koledzy specjalnie się nawet starali, żeby tu trafić. Szczególny przypadek stanowiło małżeństwo Marzeny i Wieśka Kęcików, których uwięziono razem, czego owocem było ich najmłodsze dziecko. Działacze związkowi, robotnicy, stanowili w Jaworzu absolutny margines. Fakt, że elitę trzymają w tak dobrych warunkach, a zwyczajnych robotników, którzy siedzieli gdzie indziej, maltretują, był dla nas problemem. My w pewnym sensie znajdowaliśmy się w złotej klatce. Janusz Szpotański trafnie określił to jako rozpinanie na pluszowym krzyżu.

¹ T. Mazowiecki, *Internowanie*, Londyn 1983, s. 41.

W Boże Narodzenie wystosowaliście w tej sprawie list do ministra spraw wewnętrznych, protestując nie tylko przeciw internowaniu tysięcy osób, ale także „przeciw rażącemu zróżnicowaniu ich sytuacji”. Pisaliście: „Położenie naszych kolegów przebywających w aresztach i więzieniach, z których nas wywieziono do Jaworza, jest nieporównywalnie trudniejsze. Widzimy w tym próbę świadomego dzielenia nas na lepszych i gorszych. Protestujemy przeciwko temu podziałowi. Jeśli stworzenie takich samych warunków wszystkim nie jest możliwe, gotowi jesteśmy dzielić los pozostałych naszych kolegów”².

W Jaworzu znajdowało się w sumie około 80 osób, głównie z elity kulturalnej i politycznej – Władysław Bartoszewski, Andrzej Kijowski, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Bierezin, Anka Kowalska, Halina Mikołajska. Każdy z nas się zastanawiał, dlaczego tu trafił. Mnie zawieźli do Jaworza być może dlatego, że zaraz po 13 grudnia interweniowała w mojej sprawie Maja Komorowska, znana aktorka. Ale było też trochę młodych, zdeterminowanych działaczy opozycyjnych – Grzegorz Boguta, Andrzej Rosner, Jan Walc, więc może trafiłem tam z tego klucza. W każdym razie powstała ciekawa sytuacja – obok grupy intelektualistów, ludzi z dużym doświadczeniem i dorobkiem, w obozie była spora grupa takich młodych wilków jak ja. Dla nas to była cudowna szkoła, prawdziwy więzienny uniwersytet, możliwość nawiązania kontaktów, skonfrontowania własnych poglądów i pomysłów z ludźmi o wiele bardziej doświadczonymi. Nie sądzę, żeby gen. Kiszczak tak to sobie wykalkulował, raczej chciał, żeby do środowisk elitarnych szły sygnały, że w obozach internowania nie jest źle, szanują więźniów, dobrze ich karmią i respektują wszystkie potrzeby.

Oczywiście, tak jak wszyscy więźniowie natychmiast zaczęliśmy artykułować swoje żądania. Pierwsze dotyczyło mszy. To był naturalny teren konfrontacji z władzą komunistyczną – my chcemy mszy, bo jesteśmy po dobrej stronie mocy, a tamci są źli, bo nie pozwalają na mszę. Zgłosiłem to żądanie wraz z Maćkiem Rayzacherem. Po paru dniach zostaję wezwany do komendanta i odbywa się taka rozmowa: „Panie Komorowski, jak pan jesteś taki kościółkowy, to pan tu mszę zorganizujesz. Macie księdza”. Drzwi się otwierają, ja kamienieję. Staje przede mną pułkownik Ludowego Wojska Polskiego, wprawdzie w koloratce, ale też w czarnych okularach – zupełnie jak Jaruzelski. Zastanawiam się z przerażeniem, jak na to zareagują internowani koledzy, a szczególnie grupa, która nie była blisko Kościoła, ale w warunkach obozu, stanu wojennego, narodowego uniesienia bardzo się do niego zbliżała. Myślę sobie: „Jezus, Maria, cała robota na nic. Przecież oni ze względów politycznych odrzucą mszę odprawianą przez takiego księdza”.

To był ks. Zygmunt Gola, kapelan XII Dywizji w Szczecinie, postać niezwykle barwna i kontrowersyjna. Ponownie zetknąłem się z nim już jako wiceminister obrony narodowej w 1990 r. Gdy zmieniłem tablice na Grobie Nieznanego Żołnierza, eliminując wątki komunistyczne i wprowadzając prawdziwą tradycję oręża polskiego, on te stare tablice wziął do kościoła św. Agnieszki w Krakowie, gdzie był proboszczem, i odpowiednio je wyeksponował.

² *Ibidem*, s. 65.

Msza w Jaworzu się odbyła, choć wielu kolegów było skonsternowanych i niepewnych, czy odprawia ją prawdziwy ksiądz. Ja służyłem do mszy. Po nabożeństwie, gdy z dużym przejęciem porządkowałem sprzęty i naczynia liturgiczne, spytałem księdza, co zrobić z ampułką z winem, a on do mnie: „Jak to co? Wypić!”. Mało brakowało, a by mi nalał to wino do kielicha mszalnego. Postać to była przedziwna, oryginał, co się zowie.

Msze w każdym razie wywalczyliśmy i utarł się zwyczaj, że raz przyjeżdżał ks. Gola, a w drugą niedzielę sam bp Ignacy Jeż z diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Starszy, łagodny człowiek, szalenie miły, pełen zrozumienia dla internowanych, który miał za sobą cztery lata obozu koncentracyjnego w Dachau. Na msze do biskupa chodzili więc wszyscy – wierzący, ateusze i agnostycy. Na gruncie przeżycia religijnego następowało zbliżenie, ludzie o bardzo różnych poglądach i drogach życiowych stapiali się w jakąś całość, może nie jednolitą, ale przesyconą wzajemnym szacunkiem.

Władze dbały nie tylko o nasze zdrowie duchowe, ale także fizyczne. Do obozu przyjeżdżali lekarze wojskowi; jeden był zafascynowany akupunkturą, o której się uczył podczas misji wojskowej w Wietnamie. Dentysta przyjmował w dowództwie poligonu drawskiego, w Olesznie. Jeździliśmy tam na leczenie zębów. Raz dostaliśmy przy tej okazji informację od żołnierzy, że trwa proces wojskowych, którzy odmówili wykonania rozkazu i ataku na strajkujące zakłady w Białogardzie. Wiadomość przekazaliśmy do Warszawy. Najbardziej byliśmy zainteresowani możliwością bezpiecznego wysyłania listów. Maciek Rayzacher, który łatwo budził zaufanie, ale grzeszył pewną naiwnością, nawiązał kontakt z dentystą i za jego pośrednictwem wysyłał grypsy. Wiele lat później, gdy byłem ministrem obrony narodowej, dowiedziałem się, że ów dentysta był współpracownikiem kontrwywiadu wojskowego...

Przyjeżdżali też do nas fryzjerzy. Od nich się dowiedzieliśmy, że na tym samym poligonie drawskim jest drugi ośrodek internowania, gdzie uwięzieni zostali partyjni konkurenci Jaruzelskiego, członkowie Biura Politycznego PZPR z ekipy gierkowskiej. Okazało się, że nasze żony jeżdżą do nas w odwiedziny razem z żonami bonzów partyjnych, którzy siedzą w Głębokim. Fryzjerzy strzygli zarówno ich, jak i nas, więc byli świetnym źródłem plotek. Lubili zwłaszcza opowiadać o tym drugim obozie; tam siedzieli ludzie im znani – Edward Gierek, Zdzisław Grudzień, Piotr Jaroszewicz, a my byliśmy dla nich szarą masą solidarnościową. Jeden opowiadał mi kiedyś z oburzeniem: „Siada Gierek na krześle, więc ja go normalnie pytam jak każdego: jak strzyc? A Gierek patrzy na mnie i mówi: Co pan udaje, że pan nie wie, jak ja się strzygę. To jest szykana! Pan chciał mnie obrazić!”. Uważał, że każdy w Polsce wie, jaki typ języka nosi pierwszy sekretarz partii.

W Jaworzu kwitło bogate życie towarzyskie. Prócz tego każdy sobie szukał jakiego zajęcia. Jedni pisali dzienniki. Zwłaszcza Waldek Kuczyński twierdził, że należy wszystko utrwalić dla potomnych. Ja też notowałem na okładce Pisma Świętego, co się zdarzyło w ciągu dnia. Zginęło mi to, niestety. Inni malowali, rysowali, pisali artykuły. Profesor Bronek Geremek chodził z fajką i pisał jakąś naukową dysertację. Uzdolnieni manualnie produkowali ryngrafy, krzyżyki, symbole solidarnościowe. Ja wyklepałem kawatek mosiężnego pręta, oszlifowałem, wyrównałem i zrobiłem dwa krzyżyki, które mam do dzisiejszego dnia (jeden dałem synowi).

Posiłki w stołówce były okazją do spotkań z kolegami z drugiego pawilonu i – oczywiście – dyskusji politycznych. Były dyskusje na temat sytuacji w kraju, ale i kłótnie na tym tle. Podstawowy dylemat: czy postępowaliśmy rozsądnie; należało działać ostrzej czy raczej ostrożniej i mądrzej? Podziały wcale nie były proste. Roztrząsaliśmy np. wystąpienie Jacka Kuronia na Komisji Krajowej, gdy zaproponował powołanie rządu narodowego. Umiarkowani czy radykałowie – wszyscy ulegaliśmy podobnym mitom, lękom i nadziejom.

W Jaworzu internowano dużą grupę animatorów Towarzystwa Kursów Naukowych, które przed Sierpniem organizowało wykłady niezależnego Uniwersytetu Latającego. Może dlatego bardzo szybko w obozie zorganizowano serię odczytów i wydarzeń kulturalnych. Tadeusz Mazowiecki wspomina, że wykłady odbywały się niemal codziennie. „Co sobota – wieczory Pen Clubu. Lektoraty, teatr – *Dziady*, wieczory poezji, spotkania okolicznościowe, seminaria (historyczne i filozoficzne)”³. Wieczory polskiego Pen Clubu w Jaworzu zainaugurowało spotkanie 16 stycznia z udziałem Władysława Bartoszewskiego, Andrzeja Szczypiorskiego i Wiktora Woroszyńskiego⁴. Odtąd odczyty odbywały się co tydzień.

Rzeczywiście, szybko zaczęliśmy organizować cykliczne spotkania dyskusyjne. Na przykład Tomek Umiński i Stefan Niesiołowski prowadzili wykłady o biologii: Tomek o ptakach, a Stefan o motylach i mrówkach. Halina Mikołajska robiła wieczory poezji, Szpotański deklamował swoją twórczość. Ja wystąpiłem 14 lutego na spotkaniu z okazji czterdziestej rocznicy powstania Armii Krajowej, które nosiło tytuł „Pamięć i spuścizna”. Zaproponował mi to Władek Bartoszewski, który był starostą obozu. Miałem więc koreferat razem z prof. Bartoszewskim, co dla mnie było wielkim wyróżnieniem. On występował jako historyk i uczestnik podziemia akowskiego, a ja prezentowałem punkt widzenia młodego pokolenia, żeby pokazać przepływ idei, marzeń i celów niepodległościowych. Było też dokształcanie językowe. Bronisław Geremek uczył mnie francuskiego, ale wiele nie nauczył.

Maciek Rayzacher zaproponował utworzenie teatru. Przygotowaliśmy inscenizację III części *Dziadów*, sceny w więzieniu. Obsada wtedy była zabawna, a dziś jest historyczna. Tadeusz Mazowiecki był Duchem, Andrzej Drawicz grał Frejenda, Wiesiek Kęcik Kaprała, no a ja grałem Konrada. Spektakl wystawiliśmy na korytarzu, pod kiblami; graliśmy w autentycznych koszulach więziennych z napisem ZK, przemyconych z Białołęki. Bezwiednie grali także strażnicy, którzy pilnując nas, stanowili element spektaklu. Postanowiliśmy kontynuować nasze zapędy aktorskie i Maciek wziął na tapetę *Nie-Boską komedię*. Mnie obsadził, po znajomości, w roli Hrabiego. Pankracym był chyba Wiesiek Kęcik. Pilnie się przygotowywaliśmy do tego spektaklu, ale komuna nam wszystko popsowała. Można to zapisać po stronie: represje. Bo co byliśmy już prawie gotowi do występu, to zwalniali jakiegoś aktora. Trzeba było więc uzupełniać obsadę, zaczynać próby od nowa, aż w końcu mnie zwolnili, co całą sprawę zakończyło, no bo jak wystawić *Nie-Boską komedię* bez Hrabiego?

³ *Ibidem*, s. 58.

⁴ W. Bartoszewski, *Dziennik z internowania. Jaworze 15.12.1981 – 19.04.1982*, Warszawa 2006, s. 37.

Sławek Kozłowski, ekonomista z UMCS w Lublinie, dał pewnego dnia wykład o wyższości ekonomii socjalizmu nad kapitalizmem na przykładzie gospodarki jugosłowiańskiej. Wielu ludzi wtedy tak myślało – późniejsi ministrowie, premierzy, specjaliści od gospodarki – wszyscy brnęli w socjalizm, tylko lepsi. Ja byłem na to uodporniony. Wydawałem w podziemiu pierwsze książki o wolnym rynku, a z domu wyniosłem przekonanie, że własność prywatna zawsze jest lepsza niż państwowa. Dyskusje na ten temat były na tyle ostre, że w obozie powstał nieformalny klub zwolenników kapitalizmu, do którego należały cztery osoby: prof. Stefan Kurowski, ja jako jego wydawca, Maciek Rayzacher jako mój kumpel i Stefan Niesiołowski jako prawicowy radykał. Chodziliśmy we czwórkę po spacerniku i dyskutowaliśmy o wyższości kapitalizmu nad socjalizmem... Ta anegdota odzwierciedla ówczesny stan poglądów, które przez ostatnie trzydzieści lat ogromnie ewoluowały nie tylko w wymiarze ogólnospołecznym, ale też w wymiarze myśli politycznej opozycji.

Nawiązał Pan wówczas bliższą znajomość z Tadeuszem Mazowieckim?

Dla mnie Mazowiecki to był wtedy półbóg.

Mimo że Pan był radykałem, a on umiarkowanym?

Ale ja byłem kulturalnym radykałem... Najlepsze porozumienie miałem z Władkiem Bartoszewskim. On mnie chyba widział jako człowieka o podobnej tradycji, podobnych maverzeniach i postawie życiowej.

Tadeusza Mazowieckiego wcześniej nie znałem. Gdy został przywieziony do Jaworza ze Strzebielinka, spotkałem go jako jeden z pierwszych. Był półżywy po długim transporcie. Spotkaliśmy go na korytarzu i powiedzieliśmy, że tu jest zupełnie dobrze, nic mu nie grozi. Szybko odtajał. Obóz był dla mnie okazją do rozmów z nim i ucierania się, przyglądania się, słuchania jego sposobu argumentacji. Mazowiecki jest niestęchaniem kulturalnym człowiekiem, przestrzegającym dobrych manier, dyscypliny słowa i zachowania, a nawet stylu ubierania się. Ten lekko staromodny styl szalenie mi odpowiadał, bo był zgodny z moim domowym wychowaniem. W obozie nie wszyscy do tego pasowali.

W maju 1982 r. został Pan zwolniony. Zaskoczyło to Pana?

W obozie rozpoczęło się namawianie nas do wyjazdu za granicę. Jednocześnie krążyły rozmaite plotki, że będą deportować, wyrzucać na siłę z Polski. Na przykład na podstawie wiadomości o wizycie przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego w Libii zrodziło się przekonanie, że deportują nas do Francji przez Libię. Atmosfera była ciężka. Władza ludowa zachęcała do wyjazdu żony internowanych, a przez nie także naszych kolegów.

Najłatwiej poddawały się temu żony działaczy związkowych. Zapewne najbardziej się bały i miały mniejsze zaplecze środowiskowe, wiedziały też, że na Zachodzie jest lepsze życie. Zaczęły się więc wyjazdy. Ja sobie nie wyobrażałem życia poza Polską, a wyrzucenie z kraju byłoby dla mnie największą karą. Ta perspektywa na tyle mnie przeraziła, że zaczą-

łem myśleć o ucieczce z obozu. Zaplanowałem już, w którym miejscu przeskoczę przez płot, jak dojdę do stacji itd. Przez Ankę przestałem kolegom działającym w konspiracji pytanie, czy uciekać, i dostałem bardzo rozsądną odpowiedź, m.in. od Piotrka Krawczyka, który sam się ukrywał: „Ty sobie, Broniek, daj spokój, bo będziesz tylko kłopotem. Będziemy musieli ci załatwić mieszkanie, legendę, utrzymywać cię, Anka się będzie denerwować, to nie ma sensu”. Ta logika była mocna. Myślę, że wielu internowanych zastanawiało się, czy wiać, i otrzymało taką samą odpowiedź – że staniemy się tylko obciążeniem dla kolegów.

W kwietniu 1982 r. umarł mój dziadek i Maja Komorowska poprosiła bezpartyjną wicemarszałek sejmiku Halinę Skibniewską o wyjednanie przepustki dla mnie na pogrzeb. To byłaby także szansa na zobaczenie się z żoną i dwójką małych dzieci – Tadzik miał wówczas rok, a Zosia dwa i pół roku. Dostałem tę przepustkę 18 kwietnia i pojechałem na pogrzeb.

Po paru dniach zostałem wezwany na przesłuchanie. Z jednej strony była perswazja, z drugiej próba wysondowania, jak się będę zachowywał, jeżeli mnie zwolnią. Myślę, że władze przystępowały już wtedy do rozładowywania obozów dla internowanych. Ode mnie chcieli usłyszeć zapewnienie, że nie będę łamał prawa, czytaj: nie zejść do podziemia. Ponieważ wiedziałem już, że nie będę się ukrywał, więc starałem się nie sprawić wrażenia, że zaraz będę do nich strzelał. Profilaktycznie chcieli mnie nastraszyć. Z Anką też rozmawiali w tym celu. Spodziewali się, że jako matka małych dzieci wywrze na mnie presję w tym duchu. Anka odmówiła.

Według dokumentów SB policja przeprowadziła z Panem dwie rozmowy: 24 kwietnia i – już po zwolnieniu – 8 maja. Pańskie zapewnienia, że ma dość działalności politycznej i zamierza zająć się rodziną i pracą dla Kościoła, przyjęto do wiadomości. 4 maja 1982 r. uchylono decyzję o internowaniu. Jakie były Pana pierwsze kroki po powrocie do domu?

Prawdopodobnie chodziło o mój powrót do pracy w Niższym Seminarium Duchownym w Niepokalanowie. Liczyłem się z tym, że mogę zostać aresztowany z tytułu zarzutów prokuratorskich, jakie postawiono mnie i innym opozycjonistom jeszcze w grudniu 1979 r. Postanowiliśmy więc zniknąć im z oczu. Zamieszkaliśmy w Sopocie u ciotki Krzysztofa Dowgiałły. Zrobiły się z tego wspaniałe wakacje z żoną i dziećmi – morze, plaża, kąpiele. Dostawałem wciąż pieniądze jako dawny pracownik Ośrodka Badań Społecznych Regionu Mazowsze i z paksowskiej firmy Inco, w której byłem formalnie zatrudniony jako stażysta redakcyjny w „Słowie Powszechnym”. Anka jeździła raz na miesiąc do Warszawy, brała forszę od jednych i drugich i wracała do Sopotu.

Wróciłem do domu we wrześniu z nastawieniem, że się włączę do działań opozycji. Zgłosił się do mnie Tomek Dangel z prośbą o pomoc w znalezieniu kontaktu z grupą wydającą pismo „Niepodległość”. Kontakt znalazłem i zorganizowałem spotkanie u babci Tomka, generałowej Druckiej-Lubeckiej. Siedzimy razem z tymi napaleńcami – oni byli szalenie radykalni, nastawieni na akcje bezpośrednie – wreszcie ktoś stuka w sposób umówiony. Otwieram, a w progu staje przedstawiciel „Niepodległości” – Jerzy Targalski. Mnie zamurowało. On był moim kolegą ze studiów, swego czasu ideowym komunistą, jedynym

studentem, jakiego znałem, który wstąpił do PZPR, motywując to chęcią dokończenia rewolucji proletariackiej. Dawniej patrzył na mnie jak na niedorzęniętego obszarnika, otwarcie to zresztą mówił. Później do partii rozczarowały go represje antyrobotnicze w 1976 r. i zaangażował się w działalność trockistowską. Został nawet zatrzymany (o czym wyczytałem w „Biuletynie Informacyjnym” KOR) z walizką bibuły – z pismem „Szerszeń” wydawanym na Zachodzie przez Edmunda Bałukę. A teraz przychodzi jako szef środowiska radykalnie antykomunistycznego i niepodległościowego, w dodatku prokapitalistycznego, jedyne w podziemiu o tak wyraziście wolnorynkowych poglądach!

Na przełomie 1982 i 1983 r. ludzie z grupy „Niepodległości” – którzy potem założyli Liberalno-Demokratyczną Partię Niepodległość – zwrócili się do mnie z pytaniem, czy podjąłbym się zorganizowania pisma zajmującego się relacjami z krajami sąsiednimi. Stały za tym stare marzenia i ciągoty wolnościowe w imię hasła „Za Waszą i naszą wolność”, idee rozszerzenia walki z systemem komunistycznym poza granice państwa polskiego. Bardzo mi to odpowiadało, więc się podjąłem tego zadania. Pismo zacząłem organizować w 1983 r. W skład redakcji wszedł Waldemar Maj ze środowiska korowskiego, który się zajmował m.in. sprawami węgierskimi. Z kręgu BHiL dołączył Andrzej Krawczyk – historyk, mój przyjaciel ze studiów, specjalista od spraw czechosłowackich, obecnie dyplomata, ambasador w Bośni. Z harcerstwa wciągnąłem Marcina Nawrota – też historyka, dziś ambasadora w Irlandii; miał w swojej gestii sprawy ukraińskie. Do grona bliskich współpracowników redakcji należeli też Stanisław Plewako i Jacek Borkowicz. Pierwszy numer pisma, które zatytułowaliśmy „ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”, ukazał się dopiero w 1984 r., bo gotowego już numeru dość długo nie mogłem wydrukować. Zrobiła to poligrafia LDPN. Zresztą koledzy z LDPN chcieli, żeby pismo stało się organem partii, ale redakcja się na to nie zgodziła.

Nie zamierzał Pan przystąpić do tej grupy?

Nie, m.in. ze względu na Targalskiego. Ewolucja od radykalnego komunisty do radykalnego zwolennika kapitalizmu budziła moją nieufność – jak by na sprawę nie spojrzeć, to jedynym elementem stałym był wyłącznie radykalizm.

Zgromadziłem w „ABC” swoich bliskich kolegów i pilnowałem naszej autonomii. LDPN nie mogła wpływać na zawartość pisma i jego linię redakcyjną. Przekazywałem im przez pośredników (m.in. była to Zosia Zańko, dzisiaj pracująca w Muzeum Powstania Warszawskiego) gotowe do druku materiały, oni zajmowali się tylko drukiem i dystrybucją. Część nakładu sami rozprowadzaliśmy w dawnym środowisku Biblioteki Historycznej i Literackiej. Nie byliśmy też od nich uzależnieni finansowo, gdyż miałem własne możliwości pozyskania funduszy, głównie od starej emigracji londyńskiej. Moim przedstawicielem w Londynie był Paweł Dangel, wspomagali nas Tadeusz Kadenacy i Marek Matraszek. Inni koledzy z redakcji też mieli kontakty za granicą, więc w gruncie rzeczy byliśmy finansowo niezależni. Środki napływały skromne, ale wystarczające, bo nie mieliśmy przecież dużych kosztów – autorzy nie pobierali honorariów, redakcja też nie. Pieniądze były potrzebne przede wszystkim na przepisywanie tekstów i tłumaczenie literatury zachodniej.

Zaczęliśmy też sami wydawać książki. Pierwszą pozycją była najnowsza historia Czechosłowacji pióra Andrzeja Krawczyka⁵. Potem wraz kolegami z BHiL opublikowaliśmy wielką historię ZSRR Hellera i Niekricza⁶. Dzięki Tadeuszowi Wachnikowi, który miał rozbudowane kontakty w państwowych drukarniach, sporo drukowaliśmy na tzw. dojsiach.

„ABC” miało podtytuł: „niezależne pismo poświęcone problematyce narodów i państw pomiędzy Adriatykiem, Bałtykiem i M. Czarnym”. Jak określiłby Pan linię pisma, jego program nie tylko redakcyjny, ale także polityczny?

Dając taki podtytuł, chcieliśmy podkreślić, że nie zamierzamy propagować politycznego programu Międzymorza, choć wizja jakiejś współpracy krajów tego regionu w przyszłej, wolnej Europie była nam bliska. Chodziło o geograficzne określenie obszaru naszych zainteresowań, który cechował się – jak nam się wydawało – wspólnotą losu, wspólnotą kultury i tradycji politycznych sięgających Rzeczypospolitej Obojga Narodów czy nawet monarchii austro-węgierskiej. Ważne też było naturalnie wspólne doświadczenie komunizmu. W zamysle pisma na pewno odegrały rolę moje inklinacje jagiellońskie, a także pamięć o próbie federacji polsko-czechosłowackiej podjętej w czasie drugiej wojny światowej przez Edvarda Beneša i Władysława Sikorskiego. Dla mnie wciąż było to ciekawe marzenie polityczne.

Z koncepcją zasypania historycznych podziałów między Polakami, Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami jako pierwsza wystąpiła „Kultura”. Jerzy Giedroyc uważał, że niepodległość tych krajów jest warunkiem niepodległości Polski. Czy ta myśl was inspirowała?

Oczywiście. Publicystyka Juliusza Mieroszewskiego była dla nas bardzo ważnym punktem odniesienia. Ale pamiętaliśmy także o wcześniejszej koncepcji federacyjnej Józefa Piłsudskiego. Myślenie polityczne na ten temat nie zaczęło się od Mieroszewskiego. Dla mnie najważniejszym źródłem zaangażowania się w problemy tego obszaru był federalizm, bo w tej idei wyrosłem w domu.

Wierzył Pan, że federacja może uzdrowić stosunki polsko-litewskie czy polsko-ukraińskie?

Uważałem, że przyszłością naszej części Europy jest jakaś forma federalizmu, a mówiąc inaczej – integracji. Nie odważaliśmy się nawet marzyć wtedy o integracji w ramach Unii Europejskiej, ale współdziałanie państw i narodów naszego regionu, jakaś koordynacja wydawały nam się możliwe. Od „Kultury” braliśmy zrozumienie, że to się musi wiązać

⁵ Z. Markowski [A. Krawczyk], *Od realizmu do zwątpienia. Pięć szkiców z najnowszej historii Czechosłowacji*, Antyk, Lublin 1986.

⁶ M. Heller, A. Niekricz, *Historia ZSRR. Rządy utopii*, Warszawskie Wydawnictwo Historyczne, Warszawa 1985, 1986, 1987.

z polską rezygnacją ze słusznych emocjonalnie roszczeń do utraconej ojczyzny na wschodzie. Ta myśl dla mnie nie była przyjemna (wywodzimy się z pogranicza Litwy i Łotwy), ale ją akceptowaliśmy. Na moją tożsamość ideową w tej kwestii składało się też *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*, które wystosował I Krajowy Zjazd Delegatów Solidarności. Traktowałem ten dokument jako koronny dowód na to, że jest w Polsce szerokie zrozumienie konieczności działania razem z narodami sąsiednimi, nie tylko na rzecz własnej wolności, ale także wolności innych. Naturalnie, nie miało to nic wspólnego z *Realpolitik*, ale jako manifest wolności i solidarności z tymi narodami było bardzo ważne.

Wiedzieliśmy, że zajmując się tymi kwestiami, uprawiamy pewną ekstrawagancję polityczną, ale było nam z tym dobrze. Nasza wolność polegała na tym, że nie musieliśmy pisać wyłącznie o Kiszczaku i Jaruzelskim, lecz mogliśmy się zajmować kwestiami wymierzonymi w daleką przyszłość. Wydawało nam się ważne, aby Polacy, Ukraińcy, Litwini i inne narody tego regionu mogły się poznać i wzajemnie zrozumieć. Za „Kulturą” przyjmowaliśmy zasadę uznania obecnych granic jako podstaw naszych relacji. Koledzy trochę podejrzewali mnie o to, że jestem zwolennikiem rewizji granic z Litwą, i wymuszali na mnie jasne deklaracje. Ja je składałem, bo oczywiście sentymenty nie mogły przestonić potrzeby ucieczki od uwikłań i konfliktów między naszymi narodami. Można było te konflikty opisywać, ale nie można było w nich tkwić.

W tym duchu wydawało nam się również ważne poruszanie kwestii polskiej mniejszości narodowej na Litwie. Uważałem wtedy – i tak samo uważam dzisiaj – że warunkiem współpracy i pojednania jest dostrzeżenie problemów mniejszości we własnym kraju. To nas odróżniało, bo nikt inny tego tematu w prasie podziemnej nie podnosił.

Kim byli autorzy pisma?

Zamieszczaliśmy wiele tłumaczeń, przedruków z czasopism zagranicznych. Pisali dla nas Antoni Zambrowski i Mirek Czech, bodaj jedyny autor prasy podziemnej wywodzący się z mniejszości ukraińskiej; publikował w „ABC” pod pseudonimem Roman Podebski. Nie znałem go wtedy, bo zgodnie z zasadami konspiracji autorów znał tylko ten, kto się z nimi kontaktował. Wiedzieliśmy jednak wszyscy, że to młody Ukrainiec, i bardzo nam to odpowiadało. Wśród autorów byli też wnuczka Henryka Sienkiewicza Maria Kornilłowicz, Jerzy Łojek, a także mój ojciec. Sporo pisaliśmy sami.

Przygotowałem m.in. nr 5 „ABC”, wydany w 1987 r., poświęcony dialogowi polsko-litewskiemu. Były tam dwa moje materiały: artykuł *O Litwie, dalibóg! że mniej wiem niż o Chinach* oraz wywiad z panią Ludką Siekacką, nauczycielką polską z Wilna (która żyje do tej pory). Rozmowę przeprowadziłem w Warszawie, gdy pani Ludka przyjechała do mojej ciotki Medzi Kornilłowicz.

W 1988 r. udało mi się pojechać do Wilna, gdzie przeprowadziłem wiele ciekawych rozmów, m.in. z litewskim księdzem, który pracował w polskiej parafii. Niespodziewanie dostałem paszport i dzięki Markowi Matraszkowi pojechałem też do Londynu. Spotkałem się tam m.in. z Leszkiem Kołakowskim oraz Ryszardem Kaczorowskim i innymi członkami rządu na emigracji. Zrobiłem kilka wywiadów, np. z Władimirem Bukowskim – tyle że wydarzenia tak szybko poszły do przodu, że już nie zdążyliśmy tego opublikować.

Jaki był średni nakład „ABC”?

Nakłady mieliśmy różne – od kilkuset egzemplarzy do 1500. W latach 1984–1989 wyszło osiem numerów pisma, nigdy nie było wpadki. Pełniłem funkcję nieoficjalnego redaktora naczelnego, a jednocześnie sekretarza redakcji. Żeby się nie pokłócić, bo w niektórych sprawach różniły nas emocje lub poglądy, przyjęliśmy zasadę, że w poszczególnych numerach kto inny jest redaktorem prowadzącym, ale generalnie ja organizowałem pracę. Spotkania redakcji najczęściej odbywały się u mnie w domu, na ulicy Rozbrat.

To nie było zbyt bezpieczne. Policja mogła was namierzyć.

Robiliśmy to w konwencji spotkań towarzyskich czy rodzinnych. Nasze mieszkanie miało dwa wejścia, mieszkały tam też jeszcze dodatkowe tzw. dzikie lokatorki. Trudno było się zorientować, kto do kogo przychodzi. W każdym razie Służba Bezpieczeństwa nas nie namierzyła, nie wiedzieli, że to ja robię „ABC”. Wydaje mi się, że udało mi się zniknąć z ich radarów.

Czy robił Pan coś jeszcze w podziemiu poza „ABC”?

Utrzymywałem kontakty z przyjaciółmi z BHiL, w miarę możliwości ich wspomagałem. Uczestniczyłem w pracach podziemnej poligrafii. Sam już bardzo rzadko drukowałem, ale pomagałem kolegom przewozić bibułę, załatwiać magazyny, przekazać kontakty albo pieniądze. Niewątpliwie był to okres spowolnienia mojej aktywności opozycyjnej poza „ABC”. Na manifestacje solidarnościowe chodziłem, ale nie w pierwszym szeregu, żeby się nie pchać w oczy. Uważałem, że skoro robię pismo podziemne, byłoby głupotą pchać się pod obiektywy fotoreporterów z SB. Młodszy ode mnie radził sobie znakomicie.